

Psycholog Agnieszka Stein dla "TS": Wychowanie bezstresowe nie istnieje



Mimo że na dzieci chowaniu znamy się najlepiej, rodzicielskie fora internetowe kipią od pytań zaczynających się od „jak”. W odpowiedziach - cały wachlarz pomysłów i, jak zwykle, spory między reprezentantami dwóch wrogich obozów. Z jednej strony „eko-matki” oskarżane o mityczne bezstresowe wychowanie. Z drugiej rodzice „tradycyjni”, przywiązani do kar, nagród, a czasem i klapsów. A może istnieje droga, która spodobałoby się i jednym, i drugim?

Rodzicielstwo bliskości (RB), czyli nurt zapoczątkowany przez małżeństwo Marthę i Williama Searsów, to postawa wychowawcza, w której główne role gra szacunek oraz naturalne instynkty rodzicielskie.

Sens podążania za nimi został zanegowany przez pedagogów ubiegłego wieku, wymyślających kolejne systemowe metody mające sprawić, że dziecko robi to, czego żąda rodzic. Stały się one na tyle powszechne, że dziś uważane są za tradycyjne, mimo że wcale takimi nie są.

Psychologowie związani z RB obalają założenie, że mały człowiek jest istotą niekompletną, którą trzeba poddać odpowiedniej obróbce pedagogicznej, by stała się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Według nich każdy z nas, także dziecko, ma wewnętrzną motywację, by żyć w zgodzie z otoczeniem. Ważne jest, byśmy my, jako rodzice i autorytety, pokazywali mu pozytywne wzorce postaw i zachowań, które dziecko w naturalny sposób naśladuje. Istotne jest też doświadczanie przez młodego człowieka konsekwencji własnych czynów, co działa znacznie skuteczniej niż kary.

Z psycholog Agnieszka Stein rozmawia Anna Brzeska

- Jakie są podstawowe różnice między rodzicielstwem bliskości a wychowaniem bezstresowym?

- Takie, że jedno istnieje, a drugie nie. Wychowanie bezstresowe to tylko teoretyczny konstrukt, stworzony po to, by „dowalać rodzicom”. Wystarczy, że ktoś nie bije dziecka i już może spotkać się z zarzutem, że wychowuje bezstresowo.

Natomiast nie jest możliwe, żeby człowiek nie przeżywał stresu. Ludzie mają pewne mechanizmy radzenia sobie z nim wtedy, gdy nie jest go za dużo.

- Mój redakcyjny kolega opowiadał, jak jego dziewięcioletni syn nie mógł sobie poradzić z dokuczającymi mu kolegami. Próbował z nimi rozmawiać, jednak bez skutku. Ostatecznie zwrócił się do nich ostro i to zadziałało. Agresorzy się odczepili.

- Trafili na znajomą sytuację.

- Tak, ale ktoś może być teraz przekonany, że teorie o rozwiązywaniu konfliktów pokojową metodą można wrzucić do kosza.

- Jest różnica między dzieckiem, które ma do wyboru zarówno sposób „po żołniersku”, jak i „łagodnie”, a dzieckiem używającym tylko metody „ostro i po żołniersku”. To drugie nie zna innych sposobów wchodzenia w relacje, zatem nie ma wyboru. Myślę, że również wielu dorosłych znajduje się w takiej sytuacji. Czy jednak chcemy na tej zasadzie rozmawiać ze sobą w bliskich relacjach? Czy chcemy „ostro i po żołniersku” rozmawiać ze swoim partnerem? Czy w takim świecie chcemy żyć? Historia z kolegami to jest sytuacja mobbingu, niełatwa dla kogokolwiek. Nieuprawnione jest więc wyciąganie wniosków co do tego, jak zachować się w relacjach z ludźmi, na podstawie tak ekstremalnej sytuacji. Jeśli w pracy atakuje pani pół zespołu, idzie pani do sądu pracy. To jednak nie znaczy przecież, że każdy spór między ludźmi należy załatwiać przez sąd pracy.

Cały artykuł w najnowszym numerze "TS" (24/2016) - do kupienia również w wersji cyfrowej [TUTAJ](#)